ROZMAITOŚCI.

Dnia 22 lutego, Nr. 8. roku 1845.

Polowanie na niedźwiedzie

W JASKINIACH

PÓŁNOCNO - AMERYKAŃSKIEGO POGÓRZA.

Pewnego jasnego lecz nadzwyczajnie mroźnego poranku w miesiącu lutym, gdy osłonięte lekkiémi mgłami słońce nie miało dość siły rozgrzać powietrza, a nawet — co w Arkansas bardzo rzadkiém zjawiskiem, — po brzegach potoków wodą lodem się pościnała, przedzierało się trzech ludzi po złomach i urwiskach skał, które źródła rzeki »*spirit-creeks*« otaczają. Chociaż nieraz małe ustępy otwartej płaszczyzny przed niémi się rozlegały, obchodzili je przecież umyślnie i wyszukiwali starannie [illegible]niejszych parowów, gdzie stoczone z wyższych gór głazy chaotycznie powszędy porozr[illegible] [illegible] [illegible] labiryncie niepodobnym czyniły.

Ci trzej myśliwi — gdyż inni ludzie nie byliby się pewnie w te strony zabłąkali — nie szli razem, lecz w oddaleniu kilkuset kroków od siebie, opatrując starannie ziemię i rośliny, po których bardzo powoli naprzód postępowali. Nagle zawołał ostatni, który przez najniższe skały się przedzierał — a byłto Indyjanin, podczas gdy obaj inni byli bieli — dając znak towarzyszom, iż coś wytropił.

Indyjanin był jeszcze młodym rzezkim człowiekiem, mającym około lat trzydzieści, wysmukło lecz silnie zbudowanym.

Na nogach miał skórzane spodnie i takież chodaczki; myśliwska jego bluza bez rękawów, składała się z szérokich różnokolorowych pasów katunu, opiętych w stanie rzemieniem; oba ramiona były nagie, lecz je okrywała duża wełniana derha. Z nieokrytej niczém głowy spadały mu długie czarne włosy po twarzy, nie pomalowanej, jak to zwykle u jego narodu bywa, żadnémi oszpecającémi farbami, lecz ocienionej jedynie naturalną miedzianą cerą, z której dwoje śmiałych czarnych oczu błyskało. Na lewém ramieniu niósł nadzwyczajnie długą rusznicę, za pasem zaś pod derhą tkwiły nóż, toporek *tomahawk* i kubek blaszany.

Obaj towarzysze Indyjanina mieli podobnyż ubior na sobie, tylko że ich myśliwskie bluzy były zszyte ze [illegible] nie z katunu, a derhy ich zwinięte na plec[illegible] spoczywały. Oprócz tego wcisnął jeden z [illegible] wysoką futrzaną czapkę na głowę, podczas gdy [illegible], uzbrojony krótką niemiecką strzelbą, miał wełnianą myckę na głowie.

[illegible]wyczajeni do łażenia po skałach, pospieszy[illegible] [illegible]dziwiającą szybkością po spadzistej i kamienia[illegible] najeżonej ścieżce ku Indyjaninowi, który wid[illegible]c, iż jego wołanie usłyszano, owinął się w derhę i czekał na nich spokojnie. Gdy się już [illegible] zbliżyli, w[illegible]ciągnął rękę zpod derhy i pokazu[illegible] na pobliskie ponadgryzane krzaki, rzekł: »Nie[illegible]wiedź lubi sassafras — bo ma miękkie z niego [illegible]. Gdy pociepleje, będzie można dójść tropu.«

[illegible] on się ukrywa, Tessakeh!« zapytał [illegible] [illegible] [illegible]re bliskie schronienie niedźwiedzia w tej stronie wyjawiały. »Musi on tu gdzieś niedaleko mieć jaskinię, a przecież nie widać najmniejszego otworu.«

»*Wah!*« rzekł Indyjanin wskazując na głęboką tuż przy jego nogach pionowo w ziemię idącą jamę, która zaledwie tak széroką była, że się w niej człowiek mógł zmieścić.

»Ale jakże się w głąb dostaniemy?« zawołał drugi myśliwy, pochylając głowę ku jamie i siląc się zajrzeć na spód. »Bierz kaci!« zawołał w końcu. »To głąb' bezdenna, a ciemna jak otchłań.« Co rzekłszy wziął mały kamyk z ziemi i puścił go w głąb lochu, zkąd się głośne pluśnięcie słyszeć dało.«

»Woda na spodzie?« rzekł piérwszy, przysłuchując się podziemnemu szmerowi wzruszonej wody. »Tak jest, niéma wątpienia; i, jak się zdaje, jest przynajmniéj 20 stóp głębokości; chybabym oszalał, gdybym tam polazł. I ręczę ci, Wernerze, iż tam nawet niéma niedźwiedzia. Nie głupi on leżeć w wodzie, kiedy ma tyle innych lepszych legowisk.«

»Niedźwiedź chytry—« przemówił Tessakeh, rzucając jeszcze raz kamyk w podziemie i nadsłuchując się sprawionemu nim łoskotowi. »Niedźwiedź

chytry, wie on gdzie dobrze leżeć, a biały człowiek wpatruje się w obłoki, podczas gdyby powinien patrzyć pod nogi. Czyżto ludzka stopa tę gałązkę złomała?”

»Zaprawdę, Redamie!” zawołał Werner na towarzysza, do którego Indyjanin powyższe słowa zwrócił, pokazując mu małą uschłą gałązkę sassafrasu; — »to pewnie nie kto inny tylko niedźwiedź tę gałązkę tu zawlókł; a ztąd najpewniejszy dowód, iż on sam jest na spodzie. Ale, gdybyśmy go nawet ubili, jakże go dobyć ztamtąd?”

Nie odpowiadając już nato, oglądnął się Tessakeh bystrém okiem wokoło, i poszedł ku młodemu, smukłemu drzewu *hickory*, które zaledwie na kilka cali grube, a przeszło 40 stóp wysokie, rosło w pobliżkości na górze. Zrąbał je kilką cięciami swojego tomahaku, strącił je na dół, poobcinał końce gałęzi, zostawiając tylko małe przypieńki, na któreby nogi postawić można było, i sporządziwszy w ten sposób dość wygodną drabinę, spuścił ją w jamę za pomocą Wernera.

Obaj towarzysze podziwili przebiegłość Indyjanina, poczém ozwał się Werner do przyjaciela: »I cóż Redamie, nie chcesz léźć z nami w jamę? Będziemy tam wyborną zabawkę mieli.”

»Życzę wam jak najlepszej,” odparł mu Redam, krzesząc ognia. — »Leźcie sobie tam z panem Bogiem i przynieście na wieczór choć kawał niedźwiedzia na pieczenię, jeżli nie będziecie mogli dobyć [illegible]żego; ja tymczasem będę tu niecił ogień [illegible] wnijścia do jamy.”

Podczas tego zrzucił Tessakeh wełn[illegible] z siebie i wyjął z torby mały gruby kawał[illegible] [illegible]skowej świecy, ulepionej z surowego wosku dzikiego ula. Tożsamo uczynił także i Werner, składając również derhę i myśliwską torbę na stronę, i tylko sam rożek z prochem mocniéj przymocowując do ciała. Tessakeh przyciągnął jeszcze rzemienia, na którym jego długi nóż wisiał, i położył strzelbę pod derhę koło roznieconego już przez Redama ogniska.

»Więc ja sam tylko mam ze sobą wziąć strzelbę?” zapytał Werner, widząc iż się Tessakeh bez strzelby na dół złazić zabierał.

»Rusznica Tessakha długa,” odrzekł Indyjanin — »a gdy stępel wyciągniesz, jest o 4 stóp dłuższa.”

»Dobrze mówisz,” — odparł Werner — „bo jeżli i ta jaskinia równie tak wązka i nizka jak owa, w którąśmy niedawno razem włazili, natenczas i moja strzelba okazałaby sie jeszcze zanadto długą do powtórnego nabicia. Lecz obaczymy; żywo więc naprzód!”

To mówiąc zawiesił strzelbę na plecy i chciał léźć pierwszy w jamę. Wstrzymał go jednak Tessakeh, wskazując ręką na lufę jego sztućca i mówiąc: »Niebezpiecznie zaglądać w lufę nabitéj strzelby; gdyby przypadkiem wystrzeliła, toby obaj biali ludzie dziś wieczór sami bez Tessakha przy ognisku leżeli. Ja muszę wleźć pierwszy; lecz gdy już będziemy na dole, wtedy może biały człowiek najprzód swoją świeczkę niedźwiedziowi pokazać.”

To rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, spuścił się rączo w jamę, a za jego przykładem poszedł Werner, pożegnawszy wprzód przyjaciela.

Obaj towarzysze przedsiębranych podziemnych łowów zleźli po drabince z nadzwyczajną łatwością, i stanęli wkrótce na dole w wodzie, która nie była więcéj jak 7 cali głęboka. Werner stał tuż przy Indyjaninie, obadwaj trzymając świeczki nad głową, jęli opatrować ciekawie miejsce, w którém się znajdowali. Byłato pieczara mająca może 9 stóp wysokości a 16 lub 18 długości, zniżająca się po bokach, a w głębi w dwa ciasne wybiegająca otwory, z których jeden, wyższy, był o jakie pięć stóp nad poziomem, drugi zaś, niższy, na równi z wodą.

Tessakeh wlazł za pomocą Wernera do wyższego otworu, a znalazłszy tam ślady niedźwiedzi i innych drapieżnych zwierząt, zapuścił się dalej wewnątrz, chcąc się dowiedzieć, czyli poszukiwany przez nich mieszkaniec jaskini, w suchym lub mokrym otworze się zagnieździł. Werner musiał pozostać w głównéj pieczarze, i stojąc po kostki w zimnej wodzie, oczekiwał tam innych podobnych przyjemności. Dopiéro po długiej chwili zjawił się Tessakeh u wnijścia [illegible]szego lochu, i oświadczył, iż takowy zana[illegible] [illegible] się zwęża, aby się tam jakikolwiek [illegible] mógł pomieścić. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, musiał niedźwiedź udać się drugim, niższym, wodą zalanym lochem do jakiego dalszego suchego miejsca, gdzie sobie teraz spoczywa.

Lecz wnijście do téj mniemanej dalszéj jaskini nie wyglądało wcale powabnie. Bo chociaż wstępny jéj otwór miał ze 20 cali wysokości, i mógł przeto wygodnie jednego człowieka przepuścić, był on przecież 6—7 cali wodą zalany i odstręczał naszych myśliwych od zanurzania się w jego czarną, ziejącą paszczę.

Przez chwilę przypatrowali się obaj w milczeniu czarnemu otworowi, aż wreszcie Tessakeh się ozwał: »Niema wątpienia iż niedźwiedź tam się znajduje; ale czyż mój brat zechce ważyć swe życie, idąc na spotkanie potworu w jego warownéj twierdzy? Zimno na dworze; jeleń wychodzi na żołędź, która na południowéj stronie gór leży, a Redam dzielnie strzela: będzie podostatkiem miał mięsa, nim słońce na południu stanie.”

»To prawda, Tessakeh;” odrzekł Werner, nie mogąc oderwać oczu od niebezpiecznego i niewygodnego lochu; — „lecz już tu raz jesteśmy, a podług wszelkiego prawdopodobieństwa możemy przy miernej wytrwałości wyśledzić i ubić niedźwiedzia;

chceszże iść za mną, lub zostaniesz się tutaj? Bo ja chcę i muszę sprobować szczęścia.»

»Mój brat jest odważnym jak rzadko,» odpowiedział Indyjanin — »lecz wszędzie gdzie się jego oczy poza siebie obrócą, zajrzą też w oczy Tessakhowi.» Poczém nie tracąc czasu, ukląknął Werner w wodzie tuż przy otworze jaskini i poświecił stoczkiem we środek. Nie widać było wewnątrz żadnej zawady, a tak założywszy strzelbę na lewe ramię, i przytrzymując ją lewą ręką, w której także niósł stoczek, położył się na prawą stronę w wodę, i opiérając się prawym łokciem, lazł powoli naprzód w ciemny otwór jaskini. Podobnież wyruszył za nim Tessakeh, lecz ponieważ nie miał ze sobą strzelby, tedy mógł się daleko łatwiej posuwać. Tylko głowa Wernera i jego lewe ramię sterczały nad wodą — przyczém aby proch mu nie zamókł, musiał rożek wziąć w zęby — mimo to jednak lazł śmiało dalej i dostał się wreszcie po 30—40 krokach téj niebezpiecznej przeprawy, cały przemokły i drżący z zimna, do suchej części jaskini, która się tu nieco w szérz i w górę rozprzestrzeniała i trzema nowémi kończyła otworami. Tuż za Wernerem wsunął się także Tessakeh, który wylazłszy z wody, zatrząsł cały sobą, jak pies skąpany.

„W której też z tych trzech jaskiń ukrywa się nasz mysio?» zapytał Werner, wykręcając zmoczoną bluzę i przypasując cieśniéj rzemień z myśliwskim nożem — »wszystkie one jednako wyglądają, a wszystkie zarówno niewygodny.»

Tessakeh czynił tymczasem postrzeżenia wokoło, i odkrył w miękkim piasku jaskini wyraźne tropy niedźwiedzia, idące do jednego z otworów; poczém przybliżając świeczkę do ziemi, położył dłoń na tropy, aby tym sposobem wielkość źwierza ocenić, i rzekł: »Gruba to sztuka! Ślady głęboko wyciśnięte; — spi zapewne.»

»Ha, jeżli doprawdy spi;» odparł Werner, skończywszy właśnie swoje przygotowania i założywszy nową spłonkę, aby tém pewniejszym być strzału— »natenczas łatwa z nim sprawa, i trudniejby go było wydobyć na wierzch, niżli go tutaj ubić. Musimy się więc spieszyć, gdyż Redam będzie się tam nudził okropnie, a miałbym wielką ochotę upiec dobry kawał mięsa przy ognisku na wieczór.»

»Na wieczór?» zagadnął Tessakeh zdziwiony. »Nasz brat obaczy jutro rano wschodzące zpoza gór słońce, a będzie zawsze jeszcze leżał sam przy ognisku i czekał na nas. Jaskinia wązka, — nie zaraz my zdołamy wyciągnąć ubitego niedźwiedzia.»

»To nie bardzo miłe widoki,» mruknął Werner pod nosem — »lecz niema się co namyślać. Dalej więc naprzód!»

Po tych słowach zbliżył się ku wnijściu jaskini, w której tropy niedźwiedzia się gubiły, i trzymając strzelbę i świeczkę w jednéj ręce, drugą się zaś wspiérając, zaczął leźć w otwór, dokąd mu też Tessakeh towarzyszył.

Z początku była jaskinia tak przestronna, iż obaj myśliwi przynajmniej na klęczkach posuwać się w niéj mogli; lecz po jakich 50 krokach stawała się za każdą stopą coraz cieśniejszą, a wreszcie zwężyła się w szczelinę, mającą zaledwie 12 cali szérokości, tak iż Wernerowi, który był dość barczysty, z największą trudnością dalej przedzierać się przychodziło. Widząc jednak po tropach niedźwiedzia, iż on także tedy przemykał, cisnął się wszelkiémi siłami naprzód i dostał się w końcu do nieco obszérniejszego miejsca. Ależ nowa przeszkoda wstrzymowała tu dalszy postęp naszych myśliwych. Chociaż jaskinia cokolwiek naprost się rozszérzała, ujrzał Werner tuż przed sobą otwiérającą sie przepaść, która, chociaż nie była szérszą od otworu przez który przełazili, miała przecież z 5 stóp długości, a Bóg wie ile głębi, gdyż pomimo że Werner na całą długość rękę z świeczką wgłąb wyciągnął, nie można było niczego innego prócz bezdennéj ciemności dojrzeć.

„Czy mój brat niedźwiedzia zasłyszał?» spytał Tessakeh, widząc iż się Werner zatrzymał.

»Nie; ale jest tu jakaś głęboka jama czy przepaść, którąbym chciał wprzód obejrzeć, nim się dalej odważę; niemam jednak kamyka, aby go rzucić na dno.»

»Są kule w torbie,» odparł Tessakeh lakonicznie.

»Słusznie masz, bracie; zapomniałem o kulach; ... wszystkich pięciu tu nie wystrzélam.» To mówiąc wyjął z kieszeni w bluzie niewielką kulę i puścił ją w przepaść; musiała ta przepaść mieć ze 36 stóp głębokości, bo długo trwało, nim usłyszano głuche uderzenie kuli w wodę. Czém nie bardzo uradowany, zawołał Werner: »Zle! Bo chociażbym nawet mógł się dostać na tamtą stronę, czepiając się skał wystérczających po obu bokach, to jakże u licha przeciągniemy tędy niedźwiedzia? Niewiem teraz doprawdy, co mam czynić?»

»Naprzód!» odpowiedział Indyjanin. »Jeżli tylko jakikolwiek sposób jest nato. Trudno ważyć ptaka, dopóki on w powietrzu; gdy Tessakeh krew ubitego źwierza obaczy, będzie on już wiedział, jak go na wierzch wydobyć.»

„Dobrze więc,» — ozwał się Werner — »ja się nie cofam. Ale pamiętaj, twoja wina będzie, jeżli nasza praca marnie przepadnie.»

Po tych słowach zawiesił sobie strzelbę na szyi, i opiérając się łokciami i kolanami o krzemieniste ściany jaskini, wisząc prawie w powietrzu nad przepaścią, w któréjby go omdlenie jednéj żyły pogrzebać było mogło, ostrożnie cal za calem naprzód się posuwając, osiągnął wreszcie drugą część jaskini przeciętéj tą otchłanią. Tu znowu ściany pieczary tak bardzo się ścieśniały, że się nawet nie

mógł obejrzeć, czy Tessakeh za nim łezie. Lecz gdy się o nowych sto kroków naprzód posunął, usłyszał nagle jakieś ciche, kwilące tony, które z niedalekiéj części jaskini pochodzić się zdawały. Zatrzymał się na chwilę, i nadstawiwszy ucha, poznał owe przytłumione, jęczące głosy, które niedźwiedź zwykle w zimowym śnie wydaje.

»Tessakeh,« rzekł Werner zcicha, obzierając się poza siebie, gdyż jaskinia tutaj znowu cokolwiek się rozszérzyła. »Tessakeh, niedźwiedzia słychać.«

Ale nikt mu nie odpowiadał, tylko nieprzejrzana ciemność rozlegała się za nim.

»Tessakeh!« zawołał Werner głośniéj, sądząc iż Indyjanin zdala nieco pozostał; poczém zaczął znów nadsłuchywać, czy go głos towarzysza nie dojdzie; lecz wszystko było cicho i tylko oddalone jęki śpiącego zwierza przerywały to grobowe milczenie. Niechętnie przewrócił się Werner na lewą stronę, i tak spoczywając przez chwilę, rozmyślał nad tem, czy ma sam się dalej zapuszczać, albo czy ma powrócić, by ujrzéć, co jego towarzyszowi się stało. »Ha!« mruknął wreszcie do siebie. „Gdyby był padł w przepaść, byłby niezawodnie o pomoc wołał, a jeżli dla tego po tamtéj stronie pozostał, abym ja sam jeden z niedźwiedziem się borykał, otóż mu pokażę, że i bez niego potrafię nabój wystrzelić. Zresztą i cóż mi niedźwiedź zrobi! Chyba że mię zjeść może. Alęż i do tego trzeba koniecznie, abym ja był obecnym.«

Z tą pociechą zaczął [illegible] się coraz bardziéj do miejsca, [illegible] czenie pochodziło.

Jaskinia nie była już wprawdzie tak bardzo jak wprzódy wązka, lecz wszystkie jéj ściany jeżyły się tak ostremi soplami, że czołganie się wzdłuż tych kolców, sprawiało mu niewymowne boleści.

Oprócz tego wisiały jeszcze w téj części jaskini roje nietoperzy poprzyczepianych nogami do skalistego stropu, w zimowym śnie pogrążonych. Ile razy posuwająca się pod niémi świeczka Wernera, zanadto się do ich zwieszonych głów zbliżyła, tyle razy wydawały świst i skrzeczące głosy, na które jednakże śmiały strzelec bynajmniéj nie zważając, miał właśnie zwrócić się ku małemu zakrętowi pieczary, za którym nieochybnie niedźwiedzia przydybać się spodziéwał, gdy oto tuż koło siebie, nieco na prawo, a tak blisko, iż leżąc tamtędy, prawie dotknąć go się musiał, obaczył ogromnego węża grzechotnika. Ten sprawionym przez Wernera szelestem przebudzony, otworzył w śpiech małe, świécące ślépia, ale olśniony blaskiem, znowu je natychmiast zamknął, i w tył zagiąwszy głowę, żaczął podwójnym, śpiczastym językiem mykać ze ściśnionéj paszczy, a oraz ogonem strasznie grzechotać.

Werner wzdrygnął się mimowolnie, nie wiedząc co ma czynić; bo chociaż nie bał się węża, nie widział przecież najmniejszego powodu cieszyć się tak bliskiem jego sąsiedztwem; a to témbardziéj, iż nie śmiał strzélić do niego, gdyż byłoby niepodobieństwem, w takiéj ciasnocie nabić powtórnie strzelbę.

Leżąc w téj okropnéj niepewności, ujrzał z radością zbliżające się powoli światełko Indyjanina, który przysunąwszy się wnet ku niemu, zapytał go o jego ociągania się przyczynę. Werner rzekł mu w kilku słowach co się zdarzyło.

»Czy pokazuje zęby?« szepnął Tessakeh.

»Nie, lecz zagrzechotał.«

„Nic to nie szkodzi; grzechotnik jak pieś angielski który goni niedźwiedzia: grozi z daleka, lecz gdy nieprzyjaciel się zbliża, on w nogi. Niech mój brat śmiało przesunie się koło węża, a pewnie zamknie oczy i uśnie.«

Chociaż nie z wielką ochotą, posłuchał Werner przecież rady Indyjanina, i posuwając strzelbę przed sobą, zbliżył się jeszcze bardziéj do węża, który kilka razy silił się otworzyć oczy, i coraz groźniéj grzechotał. Teraz był Werner tuż przy grzechotniku, a chociaż się mocno ku przeciwnéj ścianie jaskini cisnął, musiał jednakże drugą ręką dotykać się prawie zwiniętego w kłąb węża.

Tak posuwał się coraz dalej, aż oto grzechotnik otworzył nagle oczy i ujrzawszy przed sobą jasny płomień, rozdziawił szeroko paszczę i wygiął jakby do poskoku w tył głowę, w któréj po obu bokach drgającego języka, sterczały białe, jadowite zęby, podczas gdy połyskujące oczy zielonawą igrały i rwą.

Przerażony Werner dobył piorunem noża, lecz w téjże saméj chwili uczuł na swoich biodrach ramię Tessakha i ujrzał, jak jego pewną ręką prowadzony tomahawk, ugodził w grzechotnika, który w okamgnieniu krwią zbroczony, rzucać się zaczął.

Nie było już teraz wprawdzie żadnego niebezpieczeństwa, mimo to jednak byłby się najśmielszy myśliwy wzdrygnął, widząc śmiertelnie wijące się węża w tak ciasnem miejscu, i czując dotknięcie jego zimnéj łuski po twarzy. Ale tam nie było czasu do rozwagi i trzeba było co prędzéj zupełnie węża rozbroić. Dla tego przycisnął Werner szybką ręką drgający tułów grzechotnika ku sobie, gdy tymczasem Tessakeh do reszty głowę mu oderznął, potém starannie grzechotki u ogona poobcinał i wszystkie — a było ich piętnaście — u pasa sobie przypiął.

Po skończonéj téj operacyi, chciał Werner leźć dalej naprzód, lecz zaledwie się o kilka kroków posunął, już go Indyjanin zatrzymał i »*Hst!*« tajemniczo doń szepnął. »Słyszysz? — niedźwiedź się rusza.«

Obaj myśliwi nadstawili ucha, lecz najgłębsza panowała cisza. Werner opatrzył strzelbę, zajrzał czy

spłonka dobrze się trzyma, otarł z poprzyczepianéj gliny cel i lufę, i sunął w towarzystwie Indyjanina daléj.

Tu obiło się ciche mruczenie o ich uszy, i wnet wystąpiła z niedojrzanéj głębi ciemna postać niedźwiedzia, którego oczy jak dwa rozżarzone węgle się tliły. Mrucząc podnosił nozdrze do góry i wciągał powietrze w siebie, aby dójść, co za goście zbliżają się ku niemu; poczém parskając i dmąc przed siebie, cofnął się w głąb niechętnie.

Obaj towarzysze wiedzieli, iż teraz nadeszła stanowcza chwila działania, i pełzali cichutko za ustępującym potworem, z którym się znowu wkrótce zrównali, lecz — jak to Werner ze strachem postrzegł — na samym już końcu jaskini, gdzie się ona wprawdzie tyle rozszerzała, że niedźwiedź mógł powstać, ale zkad już żadnego innego wychodu nie było, tylko ten jeden, w którym obaj skuleni myśliwi, wszelką drogę rozjadłemu niedźwiedziowi do ucieczki zamknęli.

»*Wah,*» ozwał się Tessakeh, podnosząc się obok Wernera, który właśnie celną muszkę na swojéj strzelbie w jeden kierunek z błyszczącemi oczyma niespokojnego wciąż niedźwiedzia sprowadzić usiłował. — »*Wah!* Wygodnyto *wigwam* *) lecz złe pobojowisko;» — poczém uważając na wymierzona przez Wernera lufę, szepnął mu zcicha — »Nie do łba ztrzélaj, bo jeżli chybisz, zginęliśmy obadwaj, a on ani chwilki spokojnie nie postoi; — mierz mu w piersi, a chociażbyś w serce nie trafił, to go zranisz śmiertelnie, a natenczas padnie i będzie nam mniéj niebezpiecznym. Ale zaczekaj trochę: uspokoję na jakiś czas niedźwiedzia, a wtedy niechaj biały brat szybko mierzy i dobrze trafi.»

To wyrzekłszy, zaczął udawać głos sarnięcia Niedźwiedź z wytężoną uwagą słuchając, nadstawił mordę, a wtém zagrzmiał łoskot strzału w jaskini; lecz w téjże saméj chwili, jakby elektrycznem uderzeniem rażony, nim się jeszcze dym zprzed kurzącéj lufy rozwiał, rzucił się niedźwiedź na Wernera, który nie mając czasu do wydobycia noża, obalony gwałtownym pędem potworu, padł głową o skałę bez przytomności.

Tessakeh zaś, który leżał na brzuchu, i dość jeszcze wcześnie skok niedźwiedzia przewidział, zadał głęboki cios przeskakującemu źwierzowi, który pragnąc nie tyle zemsty na nieprzyjacielu, ile dostania się na wolność, w okamgnieniu w grubéj zniknął ciemności.

Zagłuszony Werner przyszedł wkrótce do siebie, nie mogąc wszakże zaraz się opamiętać, gdyż czarna noc otaczała go wkoło; dopiéro mocne uderzenie o skałę powróciło mu zupełną wiadomość położenia, w którém się właśnie znajdował.

*) Mieszkanie dzikich Indyjan.

»Tessakeh, a gdzie światło?»

»Jeżli go niedźwiedź z sobą nie uniósł, to musi tu przy nas leżeć,» odrzekł lakonicznie Indyjanin — »ale moja twarz mokra, i czuję krew na ustach. Cios Tessakha nie był daremny, a nasz mysio pewnie już tu nie wróci.» — To mówiąc rozniecił kawałek hubki, udarł ze swojéj wełnianéj bluzy szmatkę i wnet miłe zabłysnęło światełko. Obejrzeli więc miejsce gdzie niedźwiedź leżał i znaleźli tam gęste czarnéj krwi krople, ciągnące sie aż potąd, gdzie Tessakeh niedźwiedziowi cios zadał, odtąd zaś gruby strumień krwi ciekł po ziemi; cały Indyjanin był nią zbroczony. »I strzał i cięcie były jak się należy,» rzekł do Wernera. »Nie będziemy potrzebowali daleko szukać mysia, który niezawodnie już gdzieś tam martwy leży.»

Ale nacóżeś zgasił świéczkę, Tessakeh?» zapytał towarzysz. »Przecież jéj blask zbytnie cię nie raził.»

»A wież mój brat, jak długo my jeszcze w téj jaskini będziemy bawić musieli? Jeżli niedźwiedź przypadkiem w tym wązkim przesmyku utkwił, który się między tą jaskinią a poprzednią pieczarą ciągnie, tedy nasz towarzysz tam na górze ujrzy wschodzące i zachodzące słońce, nim my do niego powrócimy!»

»Przeklęcie!» zawołał Werner. »O tém nie pomyślałem. Jeżli on się tam zapchał, tedy jesteśmy ... zamknięci. Pójdź — pójdź — obaczmy co czeka.»

... mówiąc ani słowa, udali się obaj myśliwi na... tą samą drogą, która ich tu sprowadziła, ...ylezli aż do owéj przepaści, nie napotkawszy ...iedzia, który wszakże, jak się z coraz gęstszéj krwi okazowało, nie mógł daleko się już zawlec.

»Haniebnieby też było,» — mruknął Werner — »gdyby on spadł w przepaść; natenczas cała nasza zabawka na nic się nie przydała; bo niech mię kaci porwą, jeżli dobrowolnie za nim w przepaść polezę.»

»*Wah,*» odparł jego dziki towarzysz, przyświecając w przepaść świéczką Wernera, a potém spoziérając przed siebie ku tamtemu brzegowi przepaści. »*Wah!*»

»Czy może leży na spodzie?» zapytał Werner spiesznie.

»Szczęścieby dla nas było, gdyby tam leżał;» odpowiedział Tessakeh — »ale nasze świéczki spalą się do szczętu, a my omdlejemy z głodu i z pragnienia, zanim się na tamtę stronę dostaniem.»

»Albož tam co zawadza, abyśmy się nie mieli dostać na drugą stronę?» zapytał Werner z trwogą, zbliżając się do Indyjanina, w chęci ujrzenia przyczyny jego obawy. Tessakeh oparł się o skałę i podnosząc światło ponad przepaścią, zawołał:

»Oto jest wprawdzie przepaść, lecz gdzież jest dalszy wychód?«

Mimowolny krzyk przelęknienia ozwał się w odpowiedź mówiącemu, gdyż okazało się teraz, iż przeciwległy otwór jaskini był tak szczelnie tułowem nieżywego zapewne już niedźwiedzia wypełniony, że nie było najmniejszej nadziei dostania się na tamtą stronę przepaści, gdzie ani piędzi ziemi do uchwycenia się i zatrzymania ręki nie pozostało.

»Tessakeh,« przerwał Werner wkońcu milczenie — »tu zostać nie możemy, a od Redama nie mamy także żadnej spodziewać się pomocy; zabraliśmy mu wszystko światło, a pociemku nie znajdzie drogi w wodzie, gdyby nawet chciał nas szukać w jaskini. Dla tego nie trzeba się ociągać, lecz póki światła i siły starczy, starać się na tamtę stronę dostać. Polezę pierwszy z Bogiem. Jeźli się nie będę mógł wcisnąć w otwór obok niedźwiedzia, to spadnę w przepaść; lecz jeźli mi się powiedzie, tedy odsunę niedźwiedzia i utoruję nam drogę.«

Indyjanin nie odrzekł ani słowa; Werner złożył strzelbę i rożek, zdjął swoje mokre i ciężkie chodaki, aby mu nic nie zawadzało, i opierając się znowu łokciami i kolanami w obie ściany przepaści jak pierwszą razą, przesunął się szczęśliwie ponad ciemną otchłań i przybył u jéj drugiego brzegu. Nadaremnie jednak usiłował tutaj posunąć tułów ubitego niedźwiedzia i zrobić sobie miejsce; martwy potwór leżał nieruchomy, po śmierci nawet mordercom swoim straszny.

Wszelkiemi siłami, które śmiertelna trwoga o wiele jeszcze wzmogła, cisnął się Werner ponad przepaść na drugą stronę, i przytrzymując się lewą ręką, trącił prawą niedźwiedzia, gdy mu się prawa noga z wystarczającego odłamku skały wyśliznęła. W skutek utracenia tego oparcia, przechybnął się na prawą stronę, i byłby niezawodnie spadł w głębinę, gdyby się był obiema rękami skały nie chwycił i tak u krawędzia przepaści nie zaczepił.

Ale ten chwilowy ratunek nie przyniósł mu znacznéj pociechy, i chyba tylko o kilka minut oczywistą zgubę jego opóźnił; osłabiony bowiem głodem i natężeniem, nie mógł żadną miarą wytrzymać długo w tym stanie zawiśnięcia nad tonią.

Obaczywszy to Tessakeh, krzyknął aby się tylko chwilę jeszcze utrzymał, gdyż ocalić go ma nadzieję; poczém utkwiwszy w szparę skały świeczkę, aby nie zgasła i w zupełnéj nie pogrzebała ich ciemności, zaczął obiema rękami rozpiérać się nad przepaścią. Po kilku chwilach zbliżył się do Wernera i przycisnął go swojém ciałem do skały, przezco Werner przynajmniéj od spadnienia w przepaść był ochronionym. Lecz nie było dość jeszcze na tém. Należało koniecznie posunąć dalej niedźwiedzia i otworzyć w ten sposób jakkolwiek małą przestrzeń wolnego miejsca. Będąc daleko smuklejszym i gibszym od Wernera, mógł to Tessakeh łatwiej niż on uczynić; jął więc całą siłą wciskać się w otwór obok niedźwiedzia. Jakoż po chwili nadludzkich prawie usiłowań, dopiął swego zamiaru i przelazł na drugą stronę niedźwiedzia. Lecz teraz zostawała jeszcze równie trudna praca posunięcia dalej ubitego potworu, co tém prędzéj uczynić wypadało, iż Werner długo już w swojem niebezpiecznem położeniu wytrzymać nie mógł. Cały znojem oblany, ledwie Tessakeh odetchnął. już go słaby głos Wernera o jak najspieszniejszy ratunek wezwał.

»Bądź dobréj myśli!« zawołał Indyjanin. »Już źwierza ruszam; niezadługo zostanie brat mój wolnym; jednę tylko chwilkę odwagi!« — To mówiąc zaczął ciągnąć źwierza nanowo. Nareszcie ogromna bryła podała się — Tessakeh zaparł się powtórnie nogą o skałę, i powtórnie posunęła się bryła — wkońcu wytężył wszystkie swe siły i pociągnął niedźwiedzia o całą stopę naprzód. W oka mgnieniu przecisnął się znowu obok tułowu i uchwycił Wernera za rękę.

»Niech się mój brat cokolwiek w górę zepnie, abym go mógł za pas uchwycić;« rzekł do Wernera, ale ten był już zanadto osłabionym, aby to mógł uczynić i szepnął tylko: »Nie mogę — spadnę.«

Widząc Tessakeh iż tu niema do namawiania czasu, puścił rękę Wernera, wyrznął szybko nożem dziurę w skórze niedźwiedzia, i włożywszy w nią lewą rękę, aby się tak przynajmniéj miał za co przytrzymać, przegiął się na dół i uchwycił drugą ręką za pas Wernera. Ten uczuwszy jakąkolwiek ulgę, wytężył ostatek sił, spiął się gwałtownie w górę, i wsparty przez Indyjanina, wetknął większą część ciała w otwór.

Daléj jednak nie można było się dostać, gdyż tułów niedźwiedzia zamykał jeszcze otwór; lecz opierając się piersią o brzeg przepaści, mógł przynajmniéj wytchnąć na chwilę, i nie lękał się już więcéj spaść na dół. Tymczasem wziął się Tessakeh nanowo do niedźwiedzia i przelazłszy na drugą stronę, zaczął go znowu ciągnąć do siebie.

W końcu powiodło mu się dokazać tego, a oswobodzony Werner mógł już całkiem wleźć w otwór. Lecz obaj towarzysze byli tak unużeni, iż koniecznie spocząć musieli. Osobliwie Werner potrzebował przyjścia do siebie, gdyż oprócz cielesnego wytężenia, strawił blisko pół godziny w najokropniejszych męczarniach trwogi, i długo też teraz jakby bez przytomności leżał.

Pierwszy podniósł się z ziemi Indyjanin, ostrzegając Wernera, aby zbyt długo nie wypoczywał.

»Mamy jeszcze daleką i przykrą przed sobą drogę,« rzekł Indyjanin — »a mój brat nie wytrzy-

małby dłużéj głodu. Na górze, przed jaskinią pali się ogień, i wzywa nas ciepłe, wygodne łoże na spoczynek. Tu wilgoć i ciemnota, a nasze światło niebawem już zgaśnie.

Werner wiedział sam dobrze, iż trzeba spieszyć, jeżli nie chcą szukać drogi w ciemności; nie czekając więc dłużéj, wziął się pomagać towarzyszowi, i podczas kiedy Tessakeh ciągnął niedźwiedzia z przodu, on go popychał z tyłu, aż go tak za wspólném usiłowaniem w nieco przestronniejszą część pieczary zawlekli.

Ztąd wrócił Indyjanin znowu na drugą stronę przepaści, i zabrał ztamtąd świéczkę, strzelbę i suknie, które Werner był zrzucił. Świeczka już się prawie całkiem spaliła, lecz Tessakeh miał jeszcze kawałek swéj własnéj świécy, i przy téjto zamyślał wyleźć z jaskini. Pospieszył więc do Wernera, aby już raz przeprawę z niedźwiedziem skończyć.

Werner radził zdjąć z niego skórę, zawinąć w nią same tylko uda i żebra, i tak je na wierzch wyciągnąć; lecz Tessakeh nie chciał nato zezwolić, twierdząc nie bez słuszności, iż z powodu ciasnoty miejsca, toby im właśnie tyle czasu zabrało, ile wyciągnięcie całego niedźwiedzia.

»Ale jakże my go na wiérzch dobędziemy?« zarzucił Werner. »Wszakże wszyscy trzéj razem nie jesteśmy w stanie temu podołać.«

»Mój brat obaczy, jak łatwo my to zrobimy, a [illegible] tém sam powié: Tessakeh miał słuszność;« rzekł [illegible] dyjanin, zabierając się znowu do pracy. Werner wdz[illegible] swoje chodaki i zaczął wiernie pomagać. Powoli posunęli niedźwiedzia aż do owéj części jaskini, która była wodą zalana. Tu zgasł już ostatni kawałek świécy i grobowa ciemność otoczyła obu myśliwych. [illegible] kilka minut nie śmiał żaden słowa przemówić; [illegible] ozwał się Indyjanin i rzekł: »Nic to nie [illegible] Wszakże i tak musielibyśmy byli zostawić tutaj świeczkę, którą mój brat chyba [illegible] mógłby był trzymać, gdyż obiema rękami musi [illegible] gnąć niedźwiedzia.«

»Ależ leżć tam po ciemku w wodę, a potem jeszcze drogi nie znaleźć!« szemrał zniechęcony towarzysz.

»Jaskinia ciągnie się prosto naprzód, i nie ma żadnych bocznych otworów;« pocieszył go Tessakeh. »W téj ciasnocie, gdyby mój brat sam nawet chciał zboczyć z drogi, niepodobna tego dokazać, a niezadługo zaświeci nam miły ogień naszego brata na górze.«

Werner polazł pierwszy, a szukając drogi w ciemności, wciągnął niedźwiedzia za pomocą Teksakha w wodę.

Czarna grobowa noc objęła obu myśliwych, którzy leżąc na poły w wodzie, trącając co chwila o skaliste sklepienie jaskini, mającéj ledwie dwie stopy wysokości, przytém znużeni śmiertelnie wleczeniem swojéj ciężkiéj zdobyczy, nie znajdowali się bynajmniéj w godném zazdrości położeniu; zahartowani jednak wolném życiem w lasach śród ciągłych niebezpieczeństw i trudów, nie rzekli i słowa skargi, lecz ciągnęli powoli daléj.

Jakkolwiek pobyt w wodzie wydawał się niemiłym, łatwiéj przecież im było ciągnąć w niéj martwe brzemię niedźwiedzia, którego posuwanie żadnéj prawie nie miało już zawady. Jakoż po niedługim czasie, w nagrodę tylu usiłowań i niebezpieczeństw, zabłysło im lube światło dzienne z otworu lochu, który się przed niémi w kształcie wysokiego komina w górę wznosił. Wnet stanęli u stóp spuszczonéj drabinki, a Werner zwinąwszy dłoń w trąbkę i do ust ją przyłożywszy, krzyknął z całego gardła — »Hop — hop!«

W téjże saméj chwili zaciemnił się otwór lochu i ozwał się radośny głos Redama: »Witajcie, witajcie! Ale czyż już wiecznie tam zostać chcecie!«

»Ani chwilki dłużéj, jak tylko tyle, ile właśnie potrzeba;« odrzekł Werner, dźwigając się wesoło po drabinie do góry, i wystawiwszy już głowę ponad ziemię, wykrzyknął z zadziwienia, — gdyż ujrzał wokoło ogromnego ogniska pięciu dzielnych *backwoodsmen* *) i usłyszał rżenie ich koni i szczekanie psów licznych. Całe towarzystwo powitało go jak najradośniéj.

Dobył się prędko z lochu, i głęboko oddechając, stanął na świéżem bożem powietrzu, pod jasnem niebem. Zaraz po nim wylazł także Tessakeh, i w oka mgnieniu zostali obaj od wszystkich obecnych otoczeni, mając odpowiadać na tysiączne o polowaniu zapytania, jakie im na widok ich krwią zbroczonych sukni czyniono.

Ale dopiero po żwawém posileniu się dobrym kawałem sarniny, i po wychyleniu kubka rumu, spełnił Werner prośbę przyjaciół i opowiedział im całą historyję swoich podziemnych łowów, którą ukończywszy, podał rękę swemu miedzianemu towarzyszowi wyprawy, przy jego boku bardzo smacznie kawał indyka pożerającemu — i rzekł do niego: »Tessakeh, tyś mi ocalił życie; nie moja to będzie wina, jeźli ci się kiedyś podobną nie odwdzięczę przysługą.«

»Mój biały brat dobrze mówi,« odrzekł poczciwy Indyjanin, wyjmując swoję zatłuszczoną rękę z Wernera ręki, i biorąc się znowu do indyka; »ale wszakże to nie piérwsze polowanie, jakieśmy z sobą odbyli, ani też, spodziéwam się, ostatnie, — bo dopóki tylko Tessakeh wieczorem wędrowną chatę na nocleg z gałęzi drzew stawiać będzie, zawsze dwaj mężowie pod jéj dachem zamieszkają: Tessakeh a jego biały brat, to jedno.«

»Ale gdzież jest wasz niedźwiedź?« spytał jeden [illegible].

»[illegible] tam na dnie téj oto jamy.«

[illegible] kula bawimy się daremnie,« zawołał drugi — »gdy nas ledwie o [illegible] kroków wyborna niedźwiedzia pieczeń czeka! Daléj chłopcy, kto prędzéj! [illegible] postronek. Ty Wernerze jesteś i tak już mokry, zleź więc jeszcze raz na dół i obwiąż wokoło szyi niedźwiedzia, niech nam swoje pokaże oblicze.

Wszyscy porwali się do dzieła. Werner spuścił się znowu na dół i kazał wyjąć drabinę, aby się niedźwiedź miał którędy pomieścić. Wnet też wskutek wspólnych usiłowań całego towarzystwa, śród radosnych okrzyków myśliwych i zjadłego wycia psów, leżał ubity źwierz przy ognisku. Ale mimo tę wszelką radość, zgodził się Werner ze zdaniem Indyjanina: iż w tę samę jaskinię nie polazłby więcéj, chociażby tam dwadzieścia niedźwiedzi zamieszkało; byłobyto bowiem, jak Tessakeh rozsądnie powiedział: »za wiele trudów, a za mało mięsa.«

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 7my i zawiera: 1) Czém można pomnożyć urodzaje, choć mało jest nawozu? 2) O chorobach bydlęcych, których należy obawiać się tegorocznéj zimy, i o środkach zapobie-

---

*) *Backwoodsmen*, ludźmi zza lasu — nazywają w północnéj Ameryce mieszkańców najodleglejszych stron zachodu.

ženia im. (Ciąg dalszy.) 3) Lekarstwo na ospę u owiec. 4) Prezerwatyw od zarazy dla bydła rogatego. Przez K. J. Turowskiego. 5) Nowo doświadczony sposób leczenia zgorzelizny gardła (zawałków) u świń. 6) Czém można mąkę od zepsucia ochronić. 7) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy. *Biblioteka warszawska* na miesiąc luty zawiera następujące artykuły: 1) Pamiętniki moje w Hiszpanii, przez Kajet. Wojciechowskiego; ciąg dalszy. 2) O mniemanym trybucie i hołdownictwie Polski cesarstwu niemieckiemu, przez Stan. Kaczkowskiego; ciąg dalszy. 3) O machinach elektro-magnetycznych przez Stan. Przystańskiego. 4) Wspomnienia koncertowe, przez Józ. Sikorskiego. 5) Poezyje. 6) Włościanie i ich regulacyja, przez Ant. Michalskiego. 7) Pamiętniki Seglasa, przez Fr. hr. Skarbka; ciąg dalszy. 8) Kronika literacka. 9) Rozmaitości. 10) Kronika zagraniczna. 11) Kronika biblijograficzna. 12) Doniesienia. 13) Dostrzeżenia meteorologiczne.

Księżna de Ligne. Niech ludzie nie mówią że w naszym prozaicznym wieku romantyczność już zaginęła, — znajduje się ona jeszcze, i to nawet pomiędzy dyplomatami. Małżonka posła belgijskiego, księcia de Ligne, wzbudza teraz swoją pięknością i nadzwyczaj wytwornym strojem powszechne podziwienie, zwłaszcza iż jest przepowiedziano, że wkrótce umrze. Jej małżonek, urodzony w roku 1804, był jeszcze bardzo młodym, gdy mu wróżono że będzie miał cztery żony, najprzód Francuzkę, później Belgijkę, trzecią Polkę, a czwartą Włoszkę, która go wreszcie struje. Dotąd sprawdzała się wróżba jak najdokładniej, gdyż książę de Ligne poślubił po [illegible] pierwszy Amaliję de Conflans, Francuzkę — powtóre Karolinę de Trazegnies, Belgijkę — a teraźniejszą [illegible] jest księżniczka Jadwiga Wanda Lubom[illegible]. Nadaremnie sprzeciwiał się matka księżniczki [illegible] związkowi, lękając się przepowiedni [illegible] odważna [illegible]ka nie boi się niczego i jest obecnie duszą i królową wszystkich festynów wielkiego świata w Paryżu. (Książę de Ligne ma pięcioraki tytuł książęcy, nazywa się bowiem właściwie księciem d'Amblise, d'Epinoy, de Falkenberg, de Mortagne, i de Ligne; przytém jest grandem hiszpańskim pierwszej klasy i t. d.)

Posagi w dawnéj Polsce, mianowicie w 15m, 16m wieku, były w porównaniu z dzisiejszemi, nadzwyczaj skromne. Marcin Bielski mówi w swojej kronice pod rokiem 1568, że w kraju naszym szlachciankom w posagu 60 albo najwięcéj 100 złotych, — 300 zł. po kasztelankach a 500 po wojewodziankach dawano. Nie wiemy jakby się takie posagi nowoczesnym spekulantom na związki małżeńskie podobały, to wszakże pewna, że owe dawne posagi nie wynoszą nawet procentów od zwykłych na teraźniejsze posagi ofiarowanych kapitałów.

Znamiona czasu. Wybrzeża Małéj Azyi, gdzie dopiéro od dwóch lat zarody zaraźliwych chorób przytłumionemi zostały, nie mogły się uchronić od zarazy francuzkich feuilletonowych romansów. Czytelnicy Dziennika smyrneńskiego otrzymują teraz codziennie greckie tłumaczenie Suego Tajemnic Paryża; inny dziennik tegoż samego miasta ogłasza greckie przerobienie romansów pani George Sand. Wiadomo jest iż »Telemak« czcigodnego Fenelona nie mógł przez całe stólecie znaleźć tłumacza w Grecyi.

Parafija starych ludzi. Jeżli nas obchodzą rzadkie przykłady nadzwyczajnie późnéj starości, jakiej pojedyńcze ludzie dożyli, témci bardziéj powinne nas zadziwiać przykłady całych okolic, których mieszkańcy odznaczają się niezwykłą długoletnością. Taką szczęśliwą okolicą jest parafija Powsin, w królestwie polskiem, w powiecie warszawskim. Jak się z pism warszawskich dowiadujemy, zakończyło tam życie w przeciągu ostatnich kilkunastu miesięcy pięć osób liczących około sto lat wieku — i tak Zonja Mrowczyna, wdowa ze wsi Bielawy dożyła lat 100; z małżonków Łapczyńskich, także z Bielawy, którzy oboje w bieżącym roku umarli, zostawując liczne grono wnuków, prawnuków i praprawnuków, dożył mąż, Wojciech lat 103, a jego żona Teresa lat 100; wreszcie Zofija Karczewska i Frańciszka Lichnierowa z Jeziorny dożyły — pierwsza lat 99, druga 89. — Pokazuje się tedy, iż osobliwie kobiety tego błogosławieństwa długoletności używają.

Minister francuzki hrabia Argenson rzekł do swego kuzyna Bigeon, gdy tenże otrzymał posadę biblijotekarza królewskiego, będącą niejako dziedziczną godnością w jego rodzinie: »Teraz, mój kochany, zdarza ci się wyborna sposobność nauczenia się dobrze czytać.«

Papuga świadkiem. Niedawno temu zdarzyła się śmieszna scena przed sądem policyjnym w Dublinie. Niejaki p. Davis zapozwał pewnego pana Moore o zwrócenie mu przywłaszczonej sobie papugi, i żądał aby samego ptaka za świadka powołano, zapewniając że on pewnie najszczérszą prawdę wyzna. Sędzia kazał sprowadzić świadka. Wniesiono dużą klatkę, która była chustą okryta. P. Davis prosił o pozwolenie, aby mógł badać świadka, przyczém powtórnie oświadczył, iż pana Moora bynajmniéj o kradzież nie posądza — [illegible] ptaka od niego i sprzedał go później jego przeciwnikowi. Adwokat pana Moore zapytał: w jaki sposób ma być świadek bronionym? wszakże łatwo być może iż takowy w niniejszym razie jest Turkiem lub poganinem. Nato ozwała się papuga zpod chusty śpiewając: »Wesoło kochani bracia!« Śród powszechnego śmiechu, który ztąd powstał, odkryto klatkę, pan Davis przystąpił do ptaka, i rzekł: »Pokochaj mię, bratku.« Ptak zatrzepotał skrzydłami i pieścił się jak najczuléj z swym dawnym panem. Jakiś pomiędzy widzami znajdujący się chłopiec zawołał, iż papuga z każdym to samo robi, a na dowód zbliżył się także do klatki i powtórzył słowa pana Davisa. Ale ptak rozzłościł się na chłopca i dziobnął go tak niemiłosiernie, że mały natręt z krzykiem uciekać musiał. Adwokat pana Moore uważał, iż jego klijent nie był jeszcze tém przekonanym, i żażądał aby pan Davis daléj swego świadka dochodził. »Bardzo chętnie,« odrzekł pan Davis, i posadziwszy ptaka na palcu zapytał go: »Jak pies szczeka?« Ku powszechnéj radości zaczęła papuga szczekać, co miała siły. — »A kot jak miauczy?« Na to zapytanie tak rzewnie zamiauczała, że aż wszystkich po sercu darło. Byłoto téż ostatnim już dowodem. Sędzia przyznał panu Davisowi papugę. Ale któż opisze uniesienie publiczności, gdy wynoszona przez prawego właściciela z izby sądowej papuga, zanuciła radośnie:

»Znowuż cię widzę o mój jedyny!
»O niech cię ścisnę do łona!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera. (*Dodatek nadzwyczajny.*)